

Warszawa dnia 4/16 Grudnia 1868 roku.

Nr 50. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

TREŚC. Od Redakcji: o wychodzeniu Opiekuna Domowego w 1869-m roku.—Ważność czasu.—Żal mi świata, (wiersz), przez *Skaryfikatora*.—Świetne wychowanie i szkoła nieszczęścia (dokończenie), przez *Adama Pługa*.—Lis biały (z drzeworytem) — O stereoskopach, przez *Wołodego Skibę*. — Samojedzi (z drzeworytem), przez *Franciszka Gracę*.— Rozmaitości.

Od Redakcji.

Jako nowy Redaktor *Opiekuna Domowego*, winienem w kilku słowach porozumieć się z przyszłemi czytelnikami pisma, które już liczy cztery lat istnienia i przechodziło rozmaite koleje.

Będąc stałym współpracownikiem Redakcji, poznałem przeróżne żądania czytelników, wyrażane już drukiem, już na piśmie, już zresztą ustnie.

Rozwój ukształcenia w społeczeństwie, będzie główném zadaniem pisma naszego; a drugiém, że wszelkie przesądne hołdowanie formułkom światowym, wszelką odrębność i wszelkie godnością ludzką nieusprawiedliwione zawarcie się w pewnych określonych granicach, uważamy za tamę na drodze ukształcenia.

Ztąd też, trzymając się dotychczasowego programmu, będziemy się starać rozszerzyć tylko zakres wiedzy w każdéj gałęzi, badając każdy zakątek ziemi, szukając pożytecznych wiadomości wszędzie, tém kierowani przeświadczeniem, że bezwzględne poszukiwanie jedynie ukształcić może prawdziwego człowieka.

Obok nauki moralnéj, opartej na zasadzie nauki Chrystusa, potroszczemy się o traktowanie w *Opiekunie Domowym* w sposób dostępny i do życia praktycznego zastosowany, nauk przyrodzonych, fizyki, chemji, hygjeny, prawnictwa i t. d., ażeby czytelników naszych obeznać ze sposobami zarobkowania i z rzeczami niezbędnemi w życiu powszedniém, bez których niepewne tylko kroki stawiać, albo na drogę błędu i zatraty zejść można.

Wychodząc wreszcie z zasady: że rozmaitość sprawia przyjemność, rzeczy poważne będziemy przeplatać przedmiotami mniéj utrudzającémi umysł a bardziéj zajmującemi wyobraźnię, która także nie małą gra rolę w sprawie wychowania ogólnego. — Dla tego w *Opiekunie* znajdą miejsce utwory poezji, opisy podróży, komedyjki, powieści, rzeczy społeczne i rozmaitości, a pragniemy, ażeby każdy, chociaż drobny artykuł, służył ku rzetelnemu pożytkowi i poczciwej rozrywce.

Dalecy jesteśmy od zarozumienia, ażebyśmy sami zdołali wniknąć we wszystkie potrzeby, obchodzące ogół naszych czytelników, ocenić je i skutecznie podać na nie środki zaradcze. Podtrzymujemy pismo głównie dla tego, ażeby ono, nie przestając szerzyć pożytecznych wiadomości, stało się jednocześnie organem wzmiankowanych potrzeb, wiele zyskujących przez swe ujawnienie, i mamy błogą otuchę, że ogół wspierać będzie nasze usiłowania swemi życzliwemi radami i przestrogami, które zawsze chętnie przyjmiemy.

Ostatnie słówko do naszych czytelników dotycze ceny prenumeracyjnej. Ustanowiliśmy ją jak można najumiarkowańszą, mając na względzie koszta illustracji i wszelkich innych potrzeb pisma, z czasem ciągle drożejących. Liczymy na to, że nasze szczere chęci zjednają nam większą ilość czytelników,—dbałych o wzrost piśmiennictwa naszego i o dobro ogólne. Takie tylko serdeczniejsze i czynniejsze poparcie z ich strony, zapewnić może stalszy byt *Opiekuna Domowego*. Śmiało więc odzywamy się do Was, pewni: że kto puka, temu otwierają gościnności wrota.

Cena prenumeraty jest następująca: w Warszawie *miesięcznie* kop. 25. W urzędach pocztowych *kwartalnie* Rs. 1 kop. 20 (złp. 8). W Redakcji z *prenumeratą na prowincję* w opaskach kwartalnie Rs. 1. Ten sposób, jako najdogodniejszy, szczególnie doradzamy.

Prenumeratę przyjmują w Warszawie wszystkie księgarnie znaczniejsze i kantory pism perjodycznych. Na prowincji prenumerować można albo przez Urzędy pocztowe, albo za zgłoszeniem się wprost do Redakcji, mieszczącej się przy Ulicy Ogrodowej Nr. 828. Skład główny w księgarni Centnerszwera przy rogu Ulic Królewskiej i Marszałkowskiej Nr. 1065c.

W Warszawie d. 15 Grudnia 1868 r.

Redaktor i Wydawca,
Aloizy Kuczyński.

WAŻNOŚĆ CZASU.

W życiu ludzkiem nie ma nic droższego nad czas. *Theims is money* (czas jest pieniądz), mówi angielskie przysłowie. Człowiek stworzony do utrzymania życia swojego przez pracę. Praca zaś, będąc zadaniem i potrzebą życia naszego, daje czerstwe zdrowie, wzmacnia siły, przedłuża życie, zapewnia byt niezależny, darzy pogodą umysłu i spokojnem sumieniem. Żeby przeto wszystko to osiągnąć, potrzeba dobrze używać czasu, rachować się z nim w każdej dnia godzinie, bowiem on szybko i niepowrotnie prze-

mija, a straconego i w sto koni niedogoni.. Nieraz przez jedną chwilę pomyślną do korzystania opuszczoną, traci się szczęście całego życia, majątek, albo też i samo życie!

Nieraz, kiedy los przyjazny się nastręczał, a nieumiało się lub zaniedbało z niego korzystać, przychodzi żal po niewczasie, że taką sposobność opuściło się dobrowolnie, kiedy nie było do tego przeszkody. Wszakże i po doznanej takiej stracie, staranne w pożytecznych a poczciwych zamysłach dalsze użycie czasu, jeszcze życie osłodzać może, troski oddalać, chleb powszedni zapewnić. Potrzeba tylko rąk nieopuszczać, a przeciwności i zawody wytrwałością pokonywać, dążąc do zamierzonego celu.

Czas zmienia postać świata, gromadzi wypadki, wytwarza i znaczy koleje ludzkości. On wszystko ogarnia, naprawia lub niszczy. Słońce jest jego zegarem, obrotem swoim znaczącym lata i wieki w nieskończoność. Czasem wymierzone są biegi słońca i planet. Patrząc na cudowne, rozmaite i nieprzeliczone dzieła stworzenia, widzimy jak wszystko, co jest na ziemi, w swoim czasie właściwym wyrasta, dojrzewa, bytem swym do użytku innych istot posługuje, a po dopełnieniu tego przeznaczenia, znowu dla nowego tworzenia, w inne kształty się przeobraża.

Człowiek do swojego krótkiego życia, rozmierzył sobie czas na lata, miesiące, dnie, godziny, minuty i sekundy, tylko nie zawsze chce i umie, tej skazówki i kierownika do pożytecznego użyć działania. Młodość swoją bez rozwagi, lekkomyślnie przepędzając na płochych rozrywkach lub próżnowaniu, traci najdroższe chwile, przeznaczone na przysposabianie się naukowe do przyszłego zawodu, jaki po dojściu do lat i sił odpowiednich, w społeczeństwie ma obrać i onym się trudnić. Kiedy po przejściu bujnych marzeń i niedoświadczenia, w dojrzalszym wieku rozwaga nastąpi; wtedy zastanawiając się lepiej nad przeszłością, zaczyna poznawać popełnione błędy; przedsiębierze zatem stalsze zamysły, układa sobie różne plany do działania; ale bez gruntownej naukowej podstawy sam nie wie czego się ma jąć, i obiera sobie zawód ot tak na chybił trafił, jaki się nastręczy. Na błędnej drodze, przy braku wytrwałości w początku doznając niepowodzenia, zraża się tem, porzuca to co rozpoczął, szuka innego zatrudnienia, a gdy i to będzie nie po jego myśli i nieprzedstawia widoków jakie sobie zakłada, chwyta co innego, i tak dalej, i tak dalej, od jednego do drugiego przechodząc, ani się spostrzeże, jak najważniejszą część życia bezpożytecznie przepędzi, i przy schyłku jego dopiero zobaczy, że nie umiejąc korzystać z czasu jak należy, nic dobrego ani dla siebie ani dla innych nie zrobił, żyjąc tylko w kłopotach i biedzie, nieodłącznej od błędnego postępowania i marnowania chwil drogich.

Żeby takiego losu nie doznawać, potrzeba troskliwie i bacznie pilnować godzin, ażeby te nie przemijały na próżno i każda użytecznie była zajętą. Potrzebna jest rozrywka i spoczynek, dla pokrzepienia umysłu i ciała po pracy; ale tych przyjemności, należy w mierze przyzwoitej i w stosownym czasie używać, ażeby wzmocnionemi siłami, podejmowane trudy można pokonywać skuteczniej. Nadużycie czasu na rozrywki i spoczynek, pobudzając do próżniactwa i marnotrawstwa, wprowadza na rozstajne drogi, gdzie obłęd popycha niebacznych do upadku i zguby.

Dnie i godziny na marnej zabawie lub bezrobociu spędzone, niczem nagrodzić się nie dadzą. Czasu zaś wstrzymać niemożna; mknie on bezprzestannie w niezmierzoną wieczność i nas z sobą uprowadza.

Z czasem tak potrzeba rachować się jak z pieniędzmi; minuty to grosze, godziny to złotówki, talary, albo i dukaty, które w niebaczności i niedbalstwie marnując, gubimy jak po drodze rozsypywane grosze z dziurawej kieszeni, kiedy w tej, rozporę zaszyć tylko potrzeba, ażeby szkody nie ponieść. Biada temu kto wartości czasu nie poznał i nie umiał ocenić; pędzi życie bezmyślne, aby tylko dogadzać swoim namiętnościom, niezważając na godność człowieczą z której się wyzuwa, skutkiem czego staje się zakałą i ciężarem społeczeństwa; taki przejdzie jak pasożyt, nie zostawiwszy po sobie żadnego wspomnienia. Na świecie był, jadł i pił, mamonie służył, Bogu i ludziom się zadłużył, taki jego koniec! Nie na próżno to powiedziano: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje," co znaczy, że dobre użycie czasu przysparza mienia, czego leniwiec opieszałością nie pozyska.

PSZCZÓŁKA i MOTYL.

„Moja mamo! co za życie
W takiej ciasnocie!"—rzekła pszczółka mała
I skarząc się na prace, rzewnie zapłakała.
„Bodaj to motyle!
One w południe, one o świcie.
Czy to w ogrodach, czy to we dworze
Wesoło wszystkie spędzają chwile
Za ich barwą tak krasną, gonią ludzie szlakiem
A na mnie biedną, o mój dobry Boże!
Nikt nawet spojrzeć nie raczy."
—„Poczekaj!" rzekła matka „przyszłość wytłomaczy
Co to jest być wałęsą, co to być próżniakiem."

Ledwie skończyła, aż w tej właśnie chwili
Chłopcy motyla w siatkę złowili,
Starli zeń barwę, skrzydła ukręcili
I ten, co stał niedawno na powodzeń oszczycie,
Został zdeptany, jak robak plugawy.
Matka to widząc, pyta: „I cóż! moje dziecię?
Czy jeszcze budzą zazdrość te motyla błyski?"
—„O nie! o matko!—odtąd ul nasz nizki
I mozolne prace,
Przenoszę nad pokaźność,—nad pyszne pałace."

—„Gdy tak! wiedz, że motyla los ciebie nie czeka.
Praca i skromnośc jedna szacunek u człeka."

Wincenty Burdys.

ŚWIETNE WYCHOWANIE I SZKOŁA NIESZCZĘŚCIA.

(Dokończenie, patrz N. 49-ty).

I dobrze się to stało, bo Olesia i Frania tak jak i Kasperska na razie nie poznały Jagusi, choć się jej nie spodziewały i czekały na nią, w okienku. Domyśliły się wprawdzie, kogo to im matka prowadzi, ale nim wybiegły na ganek z powitaniem rodzinnem, to sierotka z miny i stroju wyglądała jak wielka pani i budziła w nich trwożną wątpliwość, azali też i w sercu nie zapomniała tak samo? Biedne ekonomówny, co i z książek i z życia znały już trochę impozycję nieszczęsną z jaką najczęściej wyżsi spoglądają na niższych, bały się oziębłego przyjęcia ze strony swej kuzynki, co *z pałaców sterczących dumnie schodząc do ubogiej ich chatki*, mimowolną myśl w nich budziła o zimnej wyniosłości, nieraz tam panującej. Jeśliby więc Jagusia od razu pierwszych lodów nie przełamała w uniesieniu po-

czciwem; to kto wie, czy miałyby odwagę bodaj dłonie do niej wyciągnąć, one co w powszednich sukienkach, z licem nie znającym welonu, z rękoma mało nawykłemi do rękawiczek, z talią nie więzioną w rogówce, hoże, czerstwe i silne, wyglądały przy niej prawie jak pokojówki, i niestety, same to czuły! Ale ośmielone, ujęte serdecznością Jagusi tak jak i ona zapomniały na wszelkie względy i ściskały ją, całowały wzajemnie, jak gdyby pod cudownem tchnieniem czułości znikła bez śladu wszelka między niémi różnica.

Niebawem gwar uroczy napełnił skromną izbę folwarczną; pytania za pytaniami biegły z jednej i z drugiej strony, przerywając odpowiedzi niedokończone; bo zarówno Jagusia, jak jej matka i siostry, rade byłyby w jednej chwili dowiedzieć się o wszystkiem, czego doświadczyła w ciągu lat kilku ubiegłych od ostatnich odwiedzin. Aż nareszcie siorotka już tylko odpowiadać, a raczej opowiadać musiała, bo jej pobyt na wielkim świecie stokroć więcej treści dostarczał, niż ubogi żywot jej krewnych. Sama tylko Aniela miała nieco obfitszy przedmiot do pogadanki, dzięki trzyletniemu swemu synkowi, który istotnie był nieszpetnym dzieciakiem, lubo nie tak *cudownym*, jak się rzeczywiście jej oczom zdawał. Nachwalić się nie mogła jego wdzięków, dobroci i rozumu nad lata, a serce jej poczciwe aż się rozpływało z radości, gdy Jagusia, chcąc się jej przypodobać, pieszczotami i przymileniem, a nawet kosztem bezpieczeństwa zegarka, przynęciła wreszcie do siebie trochę dzikiego malca, co zrazu, onieśmielony jej pańskiém wzięciem się w żaden sposób nie chciał zbliżyć się do niej, po kątach się kryjąc, uparcie i spodełba tylko, albo przez szpary palców ukradkiem jej się przyglądał.

Tak ubiegło ze dwie godziny i zmierzchać już zaczęło. Dziedziniec zawrzał krzątaniną gwarliwą, rykiem trzody i hałasem czeladźi, co drażniło po trosze delikatne nerwy Jagusi, odwykłej od podobnej sielanki; aż wtem z trzaskiem drzwi się otworzyły i do izby się wtoczył jakiś szlachcic z miną gęstą i pewną siebie, krzepki, barczysty, z twarzą ogorzałą, rumianą, z wąsem bujnym i zawiesistym, z okiem bystrem i jasnem, przyodziany w kubrak płócienny, takież szarawary, szerokie i juchtowe buty do kolan, w ręce silnej twardej trzymał nahaj kozacki, na głowie miał słomiany, prosty kapelusz, junacko przechylony na bakier.

Chłopczyna doń się rzucił z poskokiem, krzycząc: tato! tato! na całe gardło; on się uśmiechnął doń serdecznie, potargał go za uszy i poczochrał mu jeszcze włosy i spostrzegłszy obcą osobę, zmięszał się, zdjął kapelusz z pośpiechem i wzrok pytający utkwił w Anieli.

— To Jagusia, Grzegorzu!—zawołała Eleonora głosem drżącym chlubą radośną. — To mój mąż poszepnęła Jagusi.

— Jagusia! wykrzyknął Grzegórz. — Panna, Agnieszka!— poprawił się skwapliwie. — Toż to radość dla mojej baby, dla Olesi i Frani! witam, witam z całego serca, a przepraszam pokornie, że tak prosto zmostu wleciałem, jak hałaburda jaki!—I uśmiechem, mocno zaczerwieniony, kłaniając się raz po raz: zbliżył się do Jagusi, co na powitanie jego powstawszy, grzecznie się ukłoniła wzajemnie, i nie wiedząc co dalej począć, zapłoniona, zakłopotana, stała jak na węglach gorących, szeroko rozwartemi oczyma, wpatrując się w tę podstawę poczciwą, przy tém dosyć poważną. On też na nią spoglądał, jak na obraz cudowny, a na twarzy jego igrały dziwnie pomięszane z sobą, bo i radość i jakby troska i podziw i jak gdyby politowanie i rubaszna familjarność i jak gdyby nieśmiałość.... Chwilę trwało milczenie, aż je przerwał ekonom, odzyskując całą swobodę:

— Dalipan nie wiem, jak mam witać takiego gościa? Serceby mi kazało wyściskać i wycałować, jak całuję i sciskam swoje pasierbiczki poczciwe; lecz się boję, jak mi Bóg miły! Rozum mówi: ej wara dziadu! tobież to. Wara! niech ci apetyt po kościach się rozejdzie! Dość już i tego, że ci na paniątko takie wolno przynajmniej spojrzeć.

Wtem Jagusia, której i serca i rozsądku nie brakło, robiąc ofiarę z pałacowych narowów, bielnchną, wypieszczoną swą dłonią, ujęła namuloną rękę ojczyma, i wprzód nim się mógł opamiętać, w ramię go ucałowała. Czuła, że to była winna drogiej swej matce, że inaczej niechybnie ciężkąby jej boleść zadała.

Ekonom się zżymnął, jakby z przestrachu, krew mu uderzyła do twarzy, na którą wystąpiła razem dziwna powaga, i łzy zabłysły w oczach. Schwycił za rączęta Jagusię i lekko je ściskając, chwilę patrzał na nią z rzewną lubością, a usta mu drżały pod wąsem. Poczciwe dziecko! -- rzekł nareszcie głosem wzruszonym, niech cię Bóg błogosławi! Sercem całuję cię i ściskam, ale zawsze inaczej nie śmiem!... dalipan nie śmiem!... to darmo! I nagle się zachmurzył, westchnął i pokiwał głową ze smutkiem. — Tak, tak, — ciągnął dalej, wpatrując się w nią coraz to pilniej i rąk jej nie wypuszczając ze swoich,—trudna to sprawa! choć z jednego drzewa krzyż i łopata, krzyż całują, a łopatą gnój wyrzucają... Co tam wewnątrz się dzieje, Niebo to wiedzieć raczy, sercem możeś ty nam i bliska,— to też lichaby warta była twoja edukacja paradna, gdybyś tak mi przeznią zmądrzała, iżbyś zapomniała, coś winna tej poczciwej kobiecie, która cię nad rodzone córki umiłowała, i tym dobrym dziewuchom, co tak przepadają za tobą, świetnej doli ci nie zazdroszcząc.

— Dajżeno pokój, Grzegorzu!—ozwała się Aniela, widząc że perora jej męża przykre na Jagusi sprawia wrażenia, lecz on ciągnął dalej niepowstrzymany; ja wiem tylko, sądząc po wierzchu, z ciała, żeś z tej strony wcale nie nasza! Mój miły Boże! i któżby w to uwierzył, że, jak moja baba powiada, ty mój kanareczku prześliczny i ot te pośmieciuszki mizerne, z jednego wyszłyście gniazda i ongi były tak do siebie podobne, jak rodzoniusieńkie siostrzyczki! Patrzże, moja Anielciu, choćby na tę rączynkę! I rozwarłszy dłoń swoją grubą, szeroką, twardą, jak podeszwa, od pracy, sprezentował na niej maluchną, małą i wypieszczoną, śliczną rączkę Jagusi, i zaśmiał się pociesznie. Dziewcze zarumienione probowało jej umknąć, lecz ją Grzegorz w lot schwycił delikatnie w dwa palce przy samej pięści i wesoło zawołał, poczekajno panienko! Franio! dajno tu twoję łapę! niechaj jedną z drugą porównam! Ujął Franię za rękę, czystą wprawdzie i kształtną, ale trudem fizycznem rozwiniętą niepospolicie, czerstwą i silną, a świadczącą wyraźnie, że w niej krew gorąca biegła nie woda, i razem zestawiwszy obiedwie, ze śmiechem obracał je na wszystkie strony i przymierzając jednę do dru-

giej, dogadując uciesznie: i to ciało i to ciało, ale to z porcelany saskiej najbielszej, a to z prostej gliny czerwonej, to jak atłas gładkie i delikatne, a to... to... jak skóra kozłowa; to maleńkie i wątłe, jak u pańskiej dziewicy, te rozrosłe i krzepkie, jak u szlacheckiego chłopca pod wąsem! Mówcież teraz, że to krew krwi i kość kości waszych.

Frania kraśna jakby malina, zmieszana lecz nie gniewna i nie upokorzona, z dobrodusznym uśmiechem chętnie się poddawała tej próbie i Jagusia uśmiechała się także, i jej oczko również płonęło, lecz jej uśmiech był wymuszonym, a rumieniec wymykał z rozdraśnienia hamowanego; bo te *ekonomskie maniery*, te raptusy prostacze, gorszyły i gniewały wychowankę pałacu. Olesia chichotała wesoło, bo ją ta konfrontacja oryginalna przejmowała rzewną pociechą, bo jej błogo było pomyśleć, że to dziewcze urocze, takie delikatne, pańskie, przez nią tem się stało czem było, ale wreszcie spostrzegłszy, że Jagusia tem przykrzy, ozwała się łagodnie.

—Nie dziwaczże, Grzegorzu! nie dokuczaj mojej sierotce! nudzisz ją konceptami swojemi!

Kasperski spojrzał w oczy Jagusi bystro a przenikliwie, i spoważniał w momencie i uśmiech zniknął bez śladu z twarzy, która jowialna przed chwilą, nagle się zasępiła, wypuścił dłonie dziewcząt z rąk swoich, cofnął się o parę kroków i rzekł, kłaniając się niziuchno:

— Najpokorniej przepraszam!— Bóg świadkiem, że nie chciałem obrazić!

— Ja się też nie obrażam bynajmniej!—pochwyciła żywo Jagusia, starając się uśmiech swobodny na oblicza swoje wywołać, — tylko mnie pańskie komplementa żenują.

Pan Grzegorz raptem poczerwieniał, jak burak gwałtownie się szarpnął za wąsy i odparł, brwi nasępiwszy:

— Gdzie tam pańskie, panno Agnieszko! właśnie, że nie pańskie, a ekonomskie, i to nie komplementa tylko....

W tem drzwi do sieni roztworzyły się z łoskotem i w progu się ukazał młody chłopak dorodny, strojny i zbrojny, jota w jotę tak samo, jak i pan Grzegorz, tak samo ogorzały od słońca i oznojony, ale z licem pełnem niepospolitej krasy, z czarnem wąsikiem, ledwie co się wysypującym, i z oczyma gorejącemi całym blaskiem młodzieńczej duszy. Spojrzał, spostrzegł Jagusię i cofnął się czemprędzej, jak oparzony. — Frania z Olesią pustym śmiechem parsknęły, Aniela jakieś smętne spojrzenie na Jagusię zwróciła, niby zafrasowana, a pan Grzegorz piorunem wypadł za chłopakiem do sieni, uchwycił go za ramię i jak delikwenta wciągnął do izby, wołając co u licha! od rodzonej siostry ucieka, jak djabeł od świętego obrazu!

— To Gabruś!— podchwyciła Kasperska, — to Jagusia, twoja siostrzyczka!

Jagusia z sercem trwożnie bijącem wielkie oczy zdumione nieruchomie utkwiła w obliczu chłopca, który stał przestraszony i skłopotany, nie śmiejąc ani naprzód postąpić, ani nazad się cofnąć, ani nawet popatrzeć na tę jasną panienkę, co ją siostrą jego nazwano. I chwilę tak milczeli oboje, nie ruszając się z miejsca, ona blada, on zapłoniony, jedno i drugie dziwnie jakoś zmieszani, bez cienia nawet tej radości serdecznej, jakoby towarzyszyć była powinna podobnemu spotkaniu.



Lis biały (drzeworyt Paryzki).

-- Otóż wam brat i siostra! — buchnął z gorzkim śmiechem Kasperski, z twarzą rozpłomienioną oburzeniem poczciwem.

— Gabruś! — wyjąkała Jagusia, odzyskawszy w końcu przytomność i trochę się opanowawszy Gabruś!—powtórzyła, — mój Boże! nigdybym nie poznała.

— Tak, tak, Gabruś Kublecki, brat rodzony panny Agnieszki! —cierpko podchwycił Grzegorz. Poznajże go śliczna panienko! poznaj i przyznaj go łaskawie.

Teraz Jagusia oblała się krwawym rumieńcem

i ledwie od łez gorzkich wstrzymać się mogła, tak bolesną, tak ciężką była dla niej ta próba. Przemogła się jednakże i ze słodkim uśmiechem zbliżywszy się do brata, ujęła go za rękę, szorstką, zapracowaną, rzekła głosem drżącym, złamanym:

— Witaj, drogi Gabrusiu!...jakaż miła ta niespodzianka!.. nie widzieliśmy się tak długo!... nie dziw żem cię poznać nie mogła!

I lekko, że nie powiem ostrożnie, ściskała pracowitą rękę braterską, której ledwie trzy palce mieściły się w jej drobnej dłoni. A Gabruś stał oszołomiony, bezwładny, niemy... aż wreszcie się odważył spojrzeć na uroczą swoją siostrzyczkę, wpatrzył się w nią jak w tęczę: —„Jagusia" — z głębi piersi wybuchnął, chwycił w obie ręce dłoń siostry, przycisnął gorącemi do niej ustami, i łzy mu rzuciły się strumieniem.

Wzruszyło to Jagusię, i jej łzy nanizały się perełkami na bujne rzęsy, serce się rozkwiliło poczciwie, zadrżała, i bez woli prawie i wiedzy, usty koralowemi omusnęła czoło braterskie. Ale w tymże momencie po chusteczkę sięgnęła, i zasłoniwszy oczy, razem też i wargi otarła, bo na czole Gabrusia był nie osechł jeszcze znój pracy, starła i delikatne rączki, które jak przed laty jej łzy Irenkę, niemile podrażniły rzewne łzy bratnie...

* * *

Na tem autor kończy część pierwszą powieści niniejszej. Nieprzewidziane okoliczności, zniewalają go odłożyć część drugą, a zarazem dokończenie do dalszego czasu (*Redakcja*).

LIS BIAŁY.

Monografję lisa pospolitego, wraz z jego wyobrażeniem, pomieściliśmy przed paroma latami w Opiekunie Domowym; dziś ze względu, kiedy podróże do bieguna północnego drukują prawie wszystkie pisma tygodniowe, podajemy w piśmie naszem wyobrażenie lisa płowego, który tylko różni się kolorem szerści od lisa pospolitego, zatrzymawszy jego naturę, to jest chytrość, którą jednakże w mniejszym stopniu posiada, bo bywały przykłady, że lisy polarne obłaskawiano także się przywiązywały się do człowieka. Mięso lisa białego jest jadalnem i posiada smak młodego koźlęcia. Drzeworyt nasz, przedstawia lisa polarnego, szukającego zdobyczy pośród zimy w lesie.

STEREOSKOPY.

Z czasów klassycznej przeszłości doszła do nas, w nieskończonem mnóstwie innych, pewna dość często powtarzana anegdota, znana zapewne większości naszych czytelników.

Podanie mówi: że pewien malarz starożytny wymalował obraz, przedstawiający chłopca trzymającego winne grono, a wykonał go z takim talentem, że nietylko ludzie pracę jego podziwiali, lecz nawet ptaki się łudziły i przylatywały do winogron.

W długi czas potem, gdy dzieło mistrza już nie istniało, powtórzono to podanie jednemu ze sławnych z surowości krytyków starożytnych, bodaj czy nie Zoilowi samemu.

— Być może,—odpowiedział,— że winogrona w istocie dobrze malowane były, ale w takim razie chłopiec musiał być malowanym bardzo źle, kiedy się go ptaki nie zlękły.

Odpowiedź dowcipna, zarzut słuszny, wypada jednak z tego, iżgdyby nie owa wzmianka o chłopcu, krytyk nie miałby co odpowiedzieć, i nie podałby w wątpliwość owego podania. Przypuszczał on lub pozwalał przypuszczać, że część obrazu przedstawiająca winogrona, była wykonaną tak doskonale, z tak łudzącem naśladowaniem natury, że od owego obrazu nigdy jeszcze sztuce malarskiej, nie powiodło się nic również udatnego wykonać, aż do naszych czasów, i zapewne już nigdy wykonać się nie uda.

Co do nas, zrobilibyśmy zupełnie inną, względem owej tradycji uwagę,—powiedzielibyśmy wprost i stanowczo, że albo podanie o owym obrazie jest zupełnie fałszywe i nigdy ptaki nie dopuściły się tego rodzaju pomyłki, albo też ptaki, które się zwieść dały malarzowi, były ślepe na jedno oko.

Dla czego?... Jakim-że to szczególnym zmysłem czy instynktem natura opatrzyła zwierzęta, że się nie dają złudzić sztuce, kiedy niepotrzeba nawet miernego artysty, żeby mógł złudzić oko ludzkie, jak tego naprzykład są dowodem owe bilety winszujące w formie grzebieni, odstręczających nieczystością, które niedawno jeszcze z okoliczności nowego roku miano zwyczaj sprzedawać w Paryżu i innych miastach zagranicznych, a które tylu niemiłych wrażeń stawały się powodem dla wielu osób, co najdobroduszniej namalowaną kartkę brały za grzebień rzeczywisty?...

Takie pytanie łatwo się może nasunąć czytelnikom. Odpowiemy tu na nie cokolwiek obszerniej.

Dla czego natura dała ludziom i zwierzętom dwoje oczu? Czy dla symetrji tylko? czy dla tego, żeby w razie przypadkowego utracenia jednego, drugiem posługiwać się było można? Bynajmniej. Symetrja dałałaby się osiągnąć nawet w takim razie, gdybyśmy mieli mieć tylko pojedynczy organ wzroku, prawami symetrji zresztą w całym naszym organizmie daje sie tłumaczyć tylko rozkład organów, a nie ich liczby. Co do tego przypuszczenia, jakoby jedno oko zapasowém tylko być miało, gdybyśmy je przyjęli, musielibyśmy przyznać, że natura w tym razie okazała się zbyt lub też zamało przezorną. Zbyt przezorną, bo utworzyła osobny organ na zaradzenie potrzebie, której w stosunku do ogółu ludzi, mała tylko cząstka doświadcza,—zamało przezorną, gdyż większa część, a przynajmniej połowa wypadków ślepoty, dotyka oboje oczu razem, więc zapasowe nie miałoby celu.

Pocóż tedy dano nam dwoje oczu?... Odpowiedź na to jeszcze i nie trudna,—nie dla regularności rysów, ani dla możności obchodzenia się jednem w potrzebie, tylko dla tego, żebyśmy widzieli więcej i lepiej.

To znów nastręcza się pytanie: jest-że jaka różnica między tem co widzimy okiem pojedynczo, a tem co widzim dwojgiem oczu?... Nie zastanowiwszy się bliżej, opierając swoje zdanie na kilku dorywczych próbach przymykania jednego oka i przypatrywania się tym samym przedmiotom, któreśmy dwojgiem oczu widzieli, gotowibyśmy odpowiedzieć, że nie ma żadnej. Tymczasem rzecz się ma zupełnie przeciwnie.

Postawmy przed sobą na stole dwa przedmioty okrągłe, naprzykład lichtarz i karafkę, w pewnej jedno za drugiem odległości, tak ażeby lichtarz, gdy na niego patrzeć będziemy wprost obydwoma oczami, rozdzielał karafkę na dwie zupełnie połowy. Następnie, nie zmieniając w niczem pozycji głowy ani kierunku wzroku, zamknijmy oko lewe, a zamiast równych części karafki po obu stronach lichtarza, zobaczymy z lewéj strony mniejszą, a z prawej większą. Jeżeli zamkniemy oko prawe a otworzymy lewe, okaże się przeciwnie, większa część karafki ze strony lewej a mniejsza z prawej. Ztąd wypada, że patrząc na jakikolwiek przedmiot obydwoma razem oczami, nie widzimy jednem tego samego dokładnie co drugiem, lecz w obu oczach otrzymujemy dwa obrazy różniące się cokolwiek, które spływają się razem w naszem uczuciu i umyśle, i dają obraz jeden, dokładniejszy i obszerniejszy od tego jaki jedno oko daćby nam mogło.

Skutkiem tego udokładnienia wzroku jest to, że już spojrzeniem czujemy bryłowatość, wypukłość lub wklęsłość przedmiotów. Patrząc jednem okiem, mamy przed sobą obraz taki, jakiby nam mogła dać sztuka malarska, gdyby sobie postawiła za zadanie niewolnicze trzymania się natury. I w tym pojedynczym obrazie widzieliśmy wprawdzie, że przedmioty są wypukłe lub wklęsłe, że są bryłami a nie kształtami namalowanemi na płaszczyźnie, ale widzimy to tylko dla tego, że te przedmioty mają światła i cienie, że mają perspektywę odpowiednią i naturalną, że dotykaniem i wpatrywaniem się obydwoma oczami, przywykliśmy pojmować, iż te cienie, ta perspektywa ma wyrażać rzeczywistość i zgadza się z nią, ile to podobna. Gdybyśmy jednakże na czas dłuższy zostali pozbawieni możności używania jednego oka, gdybyśmy stracili w części to przywyknienie, które się zrosło z nami i stało naturą naszą, nieraz zapewne zdarzyćby nam się mogło, brać przedmioty malowane za rzeczywiste, a nawet odwrotnie rzeczywiste za malowane. Jednoocy dość często popełniają tego rodzaju pomyłki.

Malarstwo, jako sztuka oparta na perspektywie, zmuszona jednak obrazy swoje przedstawiać na jednej płaszczyźnie, i odnosi do jednego punktu widzenia, choćby chciało najdoskonalej naśladować naturę, może nam dać obraz tylko taki, jaki jednem okiem widzimy. Tego stopienia się, zlania dwóch obrazów jednego widoku, zdjętych z dwóch punktów, nie dalszych od siebie jak odległość dwóch źrenic, malarstwem naśladować nie można, nigdy zatem choćby najdoskonalej namalowana bryła, nie może na wzroku zupełnym, działającym jednocześnie dwoma organami, wywrzeć wrażenia bryły, nigdy obraz namalowany nie będzie tak łudząco i wydatnie bryłowatym, jak jest naprzykład obraz odbity przez zwierciadło.

Patrząc na obraz malowany obojgiem oczu, czy też pojedynczemi, znajdujemy go zawsze tym samym. Ze zmianą oka którem nań spoglądamy, żaden nowy choćby najdrobniejszy szczegół się nie odsłoni, żaden nie zniknie. Ztąd w obojgu oczach naszych, obraz malowany przedstawia się tak samo, a zlanie się dwóch jednakowych obrazów, nie może wydać nic nowego i zupełniejszego jak obraz pojedynczy. Owszem jednem okiem łatwiej nieraz ocenić całość i doskonałość szczegółów. Ztąd obrazy malowane perspektywą i grą światła, dają nam wprawdzie odgadnąć, że wyobrażają bryły, nigdy jednak zupełnego uroku nie wzbudzą tak dalece, żeby przypuścił iż są rzeczywistemi bryłami.

Ze zwierciadłem rzecz ma się zupełnie przeciwnie. Patrząc w nie jednem okiem, widzimy obraz różny od tego jaki spostrzegamy drugiem,—różnica jest taką samą jak w naturze, w oczach utrzymujemy dwa obrazy różne, które zlane z sobą, każą nam widzieć i czuć i pojmować aż do złudzenia wklęsłości, wypukłości, bryłowatość, perspektywę, wzajemny rozkład w przestrzeni części obrazu, jaki mamy przed oczyma. Mylnem byłoby wszystkie te oddziaływania na nasz wzrok obrazów odbijających się w zwierciadle przypisywać ich ruchomości, gdyż patrząc w lustro z boku, tak, że sami siebie nie widzimy, i wówczas gdy w niem tylko same nieruchome przedmioty się odbijają, doznajemy tego same-

go wrażenia, tak samo każdą wypukłość i wklęsłość mamy uwydatnioną do złudzenia, że tylko świadomość iż w zwierciadło patrzymy od zupełnego omamienia się nas broni. [1])

Po tem cośmy powiedzieli, nie potrzebujemy już dowodzić, że żądać od malarstwa, ażeby tak dokładnie naśladowało bryłowatość ciał, żeby istoty opatrzone złożonym z dwojga oczu, organem wzroku wziąść mogły obraz za rzeczywistość, byłoby to żądać rzeczy niepodobnej do wykonania, a wierzyć, żeby kiedykolwiek obraz tak doskonały mógł istnieć, jest to wierzyć w niepodobieństwo.

Ptaki i inne zwierzęta nie mają szczególnego instynktu ani organu, któryby je ostrzegał, że rzecz namalowana nie jest rzeczywistą. Złudzić je łatwo — straszydła na wróble są tego dowodem, ale mają po dwoje oczu, więc wziąść nie mogą płaszczyzny za bryłę. Obraz odbijający się w zwierciadle, łudzi zarówno zwierzęta jak ludzi.

Pozostaje nam teraz odpowiedzieć, jakim sposobem owe dowcipne, chociaż wstrętne grzebienie, łudzić mogły chwilowo ludzi opatrzonych dwojgiem oczu. Cała tajemnica w tem leży, że nic bryłowatego nie wyobrażały. Grzebień łatwo może nie być grubszym od karty papieru, a powierzchnia jego zwłaszcza gdy przedziały między zębami zapełnione są brudem, jest tylko płaszczyzną. Na polu płaszczyzn wszelkie złudzenia są malarstwu dostępne, i w niczem się to niesprzeciwia prawom ostatecznym, na które się powyżej powoływaliśmy.

Wszystkich tych uwag użyliśmy za wstęp, ażeby objaśnić co są stereoskopy, i dla czego obrazy jakie w nich widzimy, zostają w takim stosunku do fotografii pojedynczych, jak obraz widziany w zwierciadle do odmalowanego na płótnie albo papierze.

Przypatrując się mniej uważnie kartce mieszczącej widok stereoskopowy, możnaby powiedzieć, że to są dwie fotografie jednakowe: naklejone obok siebie, które jednak za włożeniem do pewnej skrzynki, rozdzielonej wewnątrz na dwie komórki; przedstawiają patrzącemu jednocześnie przez dwa szkła obraz innej zupełnie natury od obrazów pojedynczych. Co jest przyczyną téj różnicy?...czy dwoistość fotografi? czy jaka tajemnicza własność skrzynki albo szkieł?... próżnobyśmy łamali sobie głowę.

Przypatrzywszy się przecież bliżej widokom stereoskopowym, dostrzeżemy pewną różnicę w fotografiach obok siebie naklejonych. Są to obrazy nie też same, lecz prawie też same. Cała ich różnica polega na tem, że są zdjęte z różnych punktów widzenia, punktów o tyle oddalonych od siebie, o ile są oddalone źrenice ludzkie. Wpatrując się w te obrazy jednocześnie, doznajemy tego samego wrażenia, jakiego doznajemy zawsze patrząc na jaki przedmiot obydwoma oczami; dwa odbicia stapiają się, zlewają w jedno i dają nam obraz, w którym już nie płaszczyzny lecz przestrzenie, już nie perspektywę sztuczną, lecz naturalne bryły mamy przed sobą.

Tym sposobem sztuka rozwiązała zadanie dotychczas dla niej niepodobne.

Stereoskopy są wynalazkiem świeżym, mniej podobno ocenionym jak na to zasługuje. Upowszechniły sie dopiero od lat kilkunastu, i przez ten czas żadnego nie zrobiły postępu. Czem były tem pozostały i zapewne pozostaną na długo, dla tego że poważna sztuka nie pomyślała się zająć niémi, że stały się narzędziem w ręku spekulacji, która jedynie tylko o ich eksploatowaniu myśli. Zrobiono z nich zabawkę, co gorsza nawet, użyto ich do rozpowszechnienia obrazków brudnej i gorszącej treści. Na tej drodze naturalnie nie ma dla nich przyszłości. Być może przecież, że przyjdzie czas i na nie, — że uznane zostaną, mimo profanacji jakiej doznały, za *jeden z najpiękniejszych i najdowcipniejszych wynalazków naszego wieku w dziedzinie optyki*, i że jaki przedsiębierczy umysł zdoła je udoskonalić i zastosować do godniejszych celów, niż dotąd były używane.

Wołody Skiba.

SAMOJEDZI.

Samojedzi są narodem szczepu fińskiego, mieszkającym na saméj północy Rosji europejskiej, pomiędzy wielkiemi trzęsawiskami, od ujścia rzeki Mezeni, w Gubernji Archangielskiej, aż do rzeki Jenissej w Syberji. Już w XI wieku znani byli pod dzisiejszą nazwą w Jugorji, jak o tem wspomina najdawniejszy latopisiec ruski, Nestor. Jugorja była to późniejsza prowincja Dźwińska, należąca do Nowogrodzian. Po upadku Nowogrodu, wszystkie jego kraje, a wraz z niémi i Samojedzka ziemia do państwa Ruskiego przyłączone zostały. — Samojedzi dzielą się na kilka pokoleń, mianowicie na Iżemców, Kajbałów, Mutorów i Sojotów w niczem prawie od siebie nie odróżniających się. Ludność ich przenosi 70,000 głów, obojej płci. Po większej części wyznają religję pogańską i trudnią się wyłącznie hodowaniem reniferów. Chrześcian pomiędzy nimi jest bardzo mało. Są oni wzrostu małego, ramiona mają szerokie, nogi krótkie, twarz okrągłą i płaską, oczy wąskie, włos czarny, brodę rzadką. Z pozoru szorstcy, wejrzenia ponurego i przejmującego, lecz w rzeczy samej łagodni, lubiący spokój i uczciwość. Nie cierpią kłótni i zwady, chociaż zawsze prawie uzbrojeni są w łuk i strzały, włócznie albo nóż; niektórzy nawet posiadają broń palną od Rosjan nabytą. Język Samojedów jest bardzo ubogi, twardy jeszcze i niewykształcony, a o książkach i piśmiennictwie prawie żadnego nie mają wyobrażenia, chociaż archimandryta Benjamin napisał dla nich gramatykę

---

[1]) Wiedząc o tych wszystkich prawdach, zastanówmy się tylko czy noszenia szkiełek *w jednem oku*, tak modne i upowszechnione przed niedawnym czasem, a poniekąd jeszcze i teraz, ma jaką racjonalną podstawę?... Odpowiedź na to łatwa i prosta. Jedno oko jest niedostatecznem do patrzenia, pojedynczy organ widzenia nieuplastycznia nam tego co widzimy, posługiwanie się więc jednem okiem, z wyjątkiem tych okoliczności, gdzie dwóch użyć niepodobna, naprzykład przy patrzeniu przez lupę albo mikroskop, najoczywiściej nie ma sensu; uzbrajać jedno oko szkiełkiem, aby z jego pomocą mniej dokładnie widzieć, niż dwoma nieuzbrojonemi, jest to śmieszność, do której tylko moda może dać pohop. Śmieszność ta byłaby do wybaczenia, gdyby całym jej skutkiem było to tylko, że uzbrojeni w pojedyncze szkiełka eleganci, dziwne i wcale nieestetyczne nieraz grymasy z twarzą wyprawiać muszą, aby się szkiełko utrzymało, i aby choć cokolwiek zobaczyć mogli. Używanie przecież jednego szkiełka, pociąga za sobą jeszcze gorsze skutki, bo psuje wzrok. Oba oczy nasze są na to nam dane, żeby równe i jednoczesne oddawały nam przysługi, używanie jednego przy pozostawieniu drugiego w bezczynności, niszczyć musi ich naturalną równowagę, i czynić je powoli niezdolnemi do patrzenia razem. Kto sobie kupił parę białych rękawiczek i jedną z nich nosi na ręku a drugą trzyma w kieszeni, ten po kilku dniach, gdyby obie włożył na ręce, wyglądałby jakby się ubrał w nieparzyste rękawiczki. Coś zupełnie podobnego, lubo smutniejszego daleko, czekać może tych co dla fałszywej elegancji wprawiają sobie w oczy pojedyncze szkiełka.

(*Przyp. Autora.*)

samojedzką. Mieszkania Samojedów podobne są zupełnie do jurt Kałmuckich; nazywają je miakan. Ubierają się powszechnie w same tylko skóry reniferów, a za pokarm używają mięsa z tychże zwierząt i ryb; lubią także bardzo tłuszcz z morskich zwierząt. Chleba sami nie pieką, ale kupują go od Rosjan, jako też wódkę i tabakę. Tytoń zwykle żują.

Odznaczającem się zajęciem Samojedów jest myśliwstwo, i rzeczywiście w tej sztuce są oni wybornymi. Futrami z białych niedźwiedzi prowadzą obszerny handel, koncentrujący się szczególniej w mieście Obdorsku.

Wogóle mówiąc, brak jeszcze pomiędzy nimi pierwszych promieni cywilizacji, ale jest nadzieja że i tam ona niedługo zabłyśnie, a swém ożywczem światłem rozproszy tak bałwochwalskie przesądy jak i przyłączy ich do ogolnej rodziny ludów postępujących naprzód przy pochodni nauki i prawdy.

Franciszek Graca.



Tańce u Samojedów (do str. 399).

ROZMAITOSCI.

— **Wanda Malecka.** *Przeciwności losu*, o których wspomiał *Opiekun domowy* z dnia $^{2}/_{14}$ Października r. b. w N-rze 41, znalazły w Warszawie uderzający przykład na osobie Wandy Maleckiej. Z domu Fryze, urodziła się w Warszawie, roku 1800.— Młoda ośmnastoletnia kobieta, wyszedłszy za mąż za Klemensa Maleckiego, zajmowała się wydawaniem pisemka perjodycznegó, które dla braku funduszów na druk,— w rękopiśmie obiegało Warszawę. Wychodził ten dzienniczek od dnia 3 Maja 1818 do 1 Maja 1820 roku pod tyłułem *Domownik*. Nie dążąc za rozgłosem sławy, obrała za całą powszechność, swoją czytającą matkę, brata i kilka przyjaciółek.— Ale Bruno hrabia Kiciński w swym „Tygodniku Polskim" zaczął obznajmiać z jej pracami obszerniejsze koło czytelników, przedrukowywując w swem Roczniku artykuły z jej Domownika. To ośmieliło młodąautorkę, że poczęła drukować już w piśmie Kicińskiego, który jej taką otuchę dawało, artykuły ze skromnym podpisem „Pustelniczki z ulicy Wiejskiej." Wychodził wtedy *Pustelnik z Krakowskiego-Przedmieścia*, pod redakcją Witowskiego i *Pustelnik z ulicy Pikadylli*, pod redakcją Szeka. Słowem nazwa ta była w modzie; Wanda Malecka ośmielona przez Kicińskiego i Franciszka Salezego Dmochowskiego, poczęła sama wydawać *Bronisławę*, pamietnik Polek. Tego czasopisma wyszło tylko cztery Numera, zawierające stronic 221; upaść musiało. Niezrażona tem wcale Wanda Malecka w lat kilka, roku 1828 ogłosiła *Wandę*, tygodnik nadwiślański. Wyszedł także jeden tom tylko; jej mąż licząc zapewne i na spółpracownictwo żony, począł ogłaszać także od 1-go Kwietnia 1823 roku *Codziennik Polski*, polityce, rolnictwu, handlowi i przemysłowi poświęcony, lecz wydał tylko kilka numerów.

Widząc jak najdowodniej że dziennikarstwo nie idzie, Wanda Malecka poczęła tłómaczyć z francuzkiego po większej części języka, różne powieści, ku czemu podawał jej pomocną rękę przez czas dość długi wydawca romansów Waltera Scotta, Franciszek Salezy Dmochowski. Prace Maleckiej drukiem ogłoszone są następujące: 1) Walerja czyli list Gustawa Liner do Ernesta G. z dzieł barona Krüdener w Warszawie 1822 tomów 2. 2) Matylda de Rokety Walter Skotta 1826 tomów 2. 3) Lalla Rulch, księżniczka mogolska z Tomasza Moore, 1826, tomów 2. 4) Pan dwóch-set wysp, romans poetyczny Walter Scotta 1826. 5) Rady dla młodych dziewcząt, z Campan, 1827. 6) Amelia Mansfeld, pani Cottin, 1827 tomów 4. 7) Powieści Lorda Bajrona, 1828. 8) Wspomnienia Włoch, Anglii i Ameryki, przekład, 1827. 9) Rozrywki dla dobrych dzieci, 1830. 10) Co za powabny młodzieniec, romans p. Kocka 1841. tomów 4. 11) Pojedynek bez świadków z Jakoba Bibliofila, 1845, tomów 2. 12) Człowiek i pieniądze, powieść Souvestra, 1845, tomów 2. 13) Maurycy Robert, pani Dach. 1845. 13) Ekran, powieść tejże, 1846 tomów 2., 15) Artur, romans, 1846. tomów 4.

Wiele artykułów Wandy Maleckiej mieściło się w Noworocznikach, jako to: *w Wianku*, *w Niezapominajkach* Karola Korwella, w *Pierścionku* Pauliny Kraków; wiele też tłumaczyła artykułów do pism czasowych, do *Magazynu Powszechnego*, do wydań Franciszka Salezego Dmochowskiego, co przez długi czas jedyny środek utrzymania Wandy Maleckiej stanowiło.— Mimo tak licznych czterdziestodwu letnich prac swoich na polu piśmienniczem, umarła w nędzy w Warszawie, dnia 22 Października 1860 roku. Córka jej także Wanda Malecka, dotknięta nieuleczoną chorobą, doznaje wsparcia w swej nędzy, z ofiar dobroczyńców za pośrednictwem Kurjera Warszawskiego i Kurjera Codziennego.

— **Samuel Orgelbrand.** Podnosimy w piśmie naszém zasługi ludzi, którzy własną a uczciwą pracą wyjednali sobie niezależne stanowisko. Do rzędu takich w mieście naszem należał niedawno zmarły księgarz Samuel **Orgelbrand**, ktory z niczego dorobił się miljonowej fortuny. Po skończeniu Szkoły Rabinów, poświęcił on się dawaniom lekcji dzieciom swoich wyznawców. Następnie przerzucił się na inne pole, i z małym zapasowym funduszikiem, założył księgareńkę antykwaryuszowską, najprzód na Nowiniarskiej, a następnie na Miodowej ulicy. Tu rzucił się do wydawnictwa powieści tłumaczonych z obcych języków, na których dobrze wychodził.—Znając gust publiczności, wydawał potem dzieła więcej serjo, a skończył na poważnej **Encyklopedji powszechnej** w 28 Tomach wydanej. Zasługa więc jego jest znakomita i niedziw że odważny i przedsiębierczy, wyszedł zwycięzko z przeciwnościami losu, zostawiając dzieciom swoim miljonową fortunę. Widzieliśmy go nieraz pieszo roznoszącego swoje nakłady, przed śmiercią jeździł swoją własną karetą. Jaka to odmiana losu, jeżeli kto usilnie zamiłuje uczciwą pracę!

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej— Redaktor: Adam Mieczyński.